

Daniel Mercier wspinał się pod prąd po zatłoczonych schodach dworca Saint-Lazare, torując sobie drogę wśród napływających z naprzeciwka mężczyzn i kobiet o zatroskanych obliczach. Niektórzy zaciskali dłonie na teczkach, inni taszczyli walizki, wszyscy jednak zręcznie go wymijali. Choć mogli go równie dobrze stratować, przecież spieszyli się i panował niemały ścisk, ale nie, nikt nawet go nie popchnął, wręcz przeciwnie, zgrabnie przed nim ustępowali. Szczęśliwie więc dostał się na górę, minął poczekalnię i wyszedł na perony. Tam również kłębił się gęsty tłum, a z wagonów wylewał się nieprzerwany ludzki potok, Daniel dotarł jednak bez problemów aż do tablicy przyjazdów. Pociąg wjeżdżał na peron dwudziesty trzeci. Wystarczyło przebiec jeszcze kilkadziesiąt metrów, by znaleźć się w pobliżu kasowników.

Za kwadrans dziesiąta pociąg numer 78654 wjechał z piskiem na stację i uwolnił pasażerów. Daniel wyciągając szyję, rozglądał się za żoną i synem. Najpierw zauważył Véronique, która pomachała do niego, po czym narysowała w powietrzu okrąg wokół własnej głowy; na jej twarzy malowało się zdziwienie. Jérôme zręcznie prześliznął się do ojca i wpadł

w niego z impetem, niemal ścinając go z nóg. Po chwili dołączyła do nich zdyszana Véronique i teraz bacznie przyglądała się mężowi.

– Co to za kapelusz?

– To kapelusz Mitterranda.

– Tak, widzę, że to kapelusz Mitterranda.

– Nie – zaoponował Daniel – chciałem powiedzieć, że to naprawdę kapelusz prezydenta.

*

Wtedy na stacji, gdy powiedział, że to „naprawdę kapelusz prezydenta”, Véronique spojrzała na niego, przechylając głowę, z tym charakterystycznym lekkim grymasem, który zdradzał, że próbuje odgadnąć, czy za tymi słowami kryje się drugie dno. Miała identyczną minę, kiedy Daniel poprosił ją o rękę, a nawet na pierwszej randce, kiedy zaproponował, żeby poszli na wystawę do Rafinerii, jak niektórzy żartobliwie nazywali Centre Georges Pompidou. Krótko mówiąc, wyglądała uroczo i między innymi z tego powodu się w niej zakochał.

– Możesz to wyjaśnić? – poprosiła, wciąż nie dowierzając.

– Masz kapelusz samego Mitterranda, tato?

– Tak – potwierdził Daniel, biorąc od nich bagaż.

– Jesteś więc prezydentem?

– Tak, jestem prezydentem – odpowiedział rozbawiony do łez dzieciinną sugestią.

W samochodzie Daniel odmówił podania jakichkolwiek szczegółów.

– Wszystko opowiem w domu.

Véronique nalegała, ale na próżno. Kiedy wjechali na szesnaste piętro budynku w piętnastej dzielnicy, Daniel zaskoczył

ich, mówiąc, że przygotował kolację. Widok talerza wędlin, kurczaka, sałatki z pomidorów z bazylią i deski serów wywołał u Véronique pełne zachwytu westchnienie – mężowi zdarzało się samodzielnie przygotować posiłek tylko kilka razy w roku. Najpierw jednak napili się aperitif.

– Usiądź – poprosił Daniel, wciąż w kapeluszu na głowie.

Véronique posłusznie zajęła miejsce przy stole, a obok niej przycupnął Jérôme, wtulając się w matkę.

– Za nas – wzniósł toast pan domu, uroczyście stuknęli się kieliszkami, a chłopiec naśladował gesty rodziców szklanką z napojem pomarańczowym Banga.

*

Daniel zdjął kapelusz i podał go Véronique. Wzięła go ostrożnie, przesunęła palcem po filcu, Jérôme natychmiast chciał pójść w jej ślady.

– Umyłeś ręce? – zapytała, trochę przestraszona.

Potem odwróciła kapelusz, a jej wzrok natychmiast padł na wewnętrzną skórzaną opaskę. Wytłoczono na niej pozłacane inicjały: „F. M.”. Véronique podniosła wzrok na męża.

Dzień wcześniej Daniel zaparkował golfa za skrzyżowaniem. Wyłączył radio, bo akurat leciała piosenka, w której młoda kobieta ogłaszała wszem i wobec, że ze wszystkich materiałów najbardziej lubi watę. Najnowszy przebój z nieco ślamazarnym, lecz wpadającym w ucho refrenem. Zaczynał go już mieć po dziurki w nosie. Pomasował obolały bark, próbując odblokować zeszywniałą szyję, ale bez większego powodzenia. Nie miał żadnych wiadomości od żony i syna, którzy wyjechali na kilka dni do teściów mieszkających w Normandii. Może po powrocie do domu okaże się, że zostawili mu nagranie na automatycznej

sekretarce. Kasety wykazywały oznaki zużycia i od kilku dni maszyna miała problemy z przewijaniem. Trzeba kupić nową. Jak sobie radzieliśmy wcześniej, bez automatycznych sekretarek? – zamyślił się Daniel. Telefon dzwonił w pustym mieszkaniu, nikt nie odpowiadał, więc dzwoniło się jeszcze raz, później. Proste.

*

Perspektywa zrobienia zakupów, a następnie samodzielnego przygotowania posiłku w pogrążonym w ciszy mieszkaniu przytłaczała go, i nagle około czwartej po południu, kiedy sprawdzał ostatnie rachunki z delegacji pracowników Sogetec, w jego głowie pojawił się obraz restauracji, przytulnej brasserie. Od roku nie stołował się na mieście. Ostatni raz wybrał się razem z Véronique i Jérôme'em, który miał wtedy sześć lat i był bardzo grzecznym chłopcem. Zamówili królewski półmisek owoców morza, butelkę pouilly-fuissé i kotlet mielony z purée ziemniaczanym dla chłopca, który ku wielkiemu ubolewaniu ojca oświadczył, że nie zamierza nawet spróbować ostryg.

– Ani jednej?

– Ani jednej – odpowiedział, kręcąc głową.

– Ma jeszcze czas – wstawiła się za nim Véronique.

To prawda, Jérôme miał jeszcze czas. Była już ósma, chłodne powietrze przesyciła woń zbliżającej się zimy, a zgłębienie miasta i hałas drogowy były ogłuszające. Nieraz przejeżdżał tamtędy samochodem. Krążąc po omacku między głównym bulwarem a boczną uliczką, w końcu ją zauważył. Dobrze zapamiętał, właśnie w tej brasserie wtedy jedli: pracownik otwierający ostrygi na zewnątrz, szerokie czerwone markizy i kelnerzy w białych fartuchach.

Zje sam, bez żony i syna. Sam, jak przed ślubem. Choć wtedy zarobki nie pozwalały mu na stołowanie się w aż tak wykwintnych lokalach. Ale nawet z najskromniejszych miejsc, w których bywał, zawsze wychodził zadowolony i nigdy nie narzekał na brak towarzystwa podczas delektowania się kiełbasą *andouillette*, sztuką mięsa czy talerzem trąbików. Czeakała go kolacja w pojedynkę w gasnącym świetle zimowego popołudnia, jak za kawalerskich czasów. Wyrażenie przypadło mu do gustu. Tak, jak za kawalerskich czasów, powtórzył, trzaskając drzwiami golfa. Niespodziewanie poczuł potrzebę „odnalezienia się”, by zacytować psychoterapeutkę, która wystąpiła w programie telewizyjnym emitowanym w Antenne 2. Napisała książkę o stresie w pracy i właśnie promowała ją w mediach. Koncept spodobał się Danielowi. Pofolguje sobie, a gastronomiczna odmiana od codziennej rutyny pozwoli mu się odnaleźć, wyrzucić z głowy napięcie nagromadzone w ciągu całego dnia, dane księgowo i ostatnie scysje związane z reorganizacją działu finansowego. Niedawno szefem został Jean Maltard; Daniel był jego zastępcą i uznał, że ta nominacja nie wróży dobrze. Ani jemu, ani firmie. Przechodząc przez ulicę, postanowił definitywnie przegonić ponure myśli. Gdy tylko pchnie ciężkie drzwi lokalu, nie będzie Jeana Maltarda, nie będzie dokumentów Sogetec, nie będzie zestawień wydatków ani podatku VAT. Będzie tylko królewski półmisek i on.

Kelner w białym fartuchu poprowadził go wzdłuż rzędu stolików, przy których pary, rodziny i turyści rozmawiali, uśmiechając się lub kiwając głowami, z pełnymi ustami. Przed nimi stały talerze, a na nich piętrzyły się owoce morza, befsztyki z ziemniakami czy steki z polędwicy wołowej w sosie bearnaiskim. Kiedy wszedł do środka, maître d'hôtel, mężczyzna o eliptycznej budowie ciała, z eleganckim wąsem, zapytał go, czy ma rezerwację. Na krótką chwilę Daniela zdjął strach, że plany na wieczór spełzną na niczym.

– Nie miałem czasu – odpowiedział bezbarwnym tonem.

Kierownik sali uniósł lewą brew, uważnie przeglądając listę rezerwacji na ten dzień. Podeszła do niego młoda dziewczyna o jasnych włosach.

– Dwunastka jest wolna, odwołano pół godziny temu – poinformowała go, wskazując na pozycję w terminarzu.

– I nikt nie raczył mnie powiadomić? – odezwał się urażony kierownik.

– Myślałam, że Françoise ci przekazała – wyjaśniła spokojnie dziewczyna i odeszła. Maître d'hôtel zamknął na chwilę oczy, bolesny grymas na twarzy zdradzał, że zbiera w sobie

siły, by powstrzymać wybuch furii, którą wzbudziła tak przyziemna gafa.

– Kelner zaprowadzi pana do stolika – zwrócił się do Daniela, unosząc brodę w kierunku podwładnego, który natychmiast do nich podszedł.

*

W brasserie obrusy zawsze są kredowobiałe, jakby wybielone, rażą w oczy niczym śnieg podczas uprawiania sportów zimowych, a kieliszki i srebrne sztucce migoczą. Ten jedy-ny w swoim rodzaju blask, jaki roztacza się wokół stołów w wykwintnych brasseries, w oczach Daniela był synonimem luksusu. Kelner wrócił z menu i kartą win. Daniel rozłożył czerwoną okładkę ze sztucznej skóry i zatopił się w lekturze. Ceny znacznie przewyższały jego wyobrażenia, ale postanowił zbyć ten szczegół. „Królewski półmisek owoców morza” napisano na środku strony schludną kaligrafią: ostrygi *finest de claire*, ostrygi pacyficzne i europejskie z Bretanii, połówka kraba, mule, krewetki pospolite, homarzec, trąbiki, krewetki zwyczajne, małże *palourdes*, małże wenus, małże atlasowe, pobrażki. Daniel sięgnął po kartę win, żeby sprawdzić, czy mają pouilly-fuissé lub pouilly-fumé. Znów okazało się, że wino było droższe, niż założył. Mimo to zamówił wymarzony półmisek i jeszcze pół butelki pouilly-fuissé.

– Przykro mi – powiedział kelner – ale wino sprzedajemy tylko na butelki.

Daniel nie chciał wyjść na skąpca.

– W takim razie proszę butelkę – oświadczył, zamykając kartę win.

Przy stołach siedziały głównie pary. Mężczyźni byli ubrani podobnie do niego, w garnitury i szare krawaty, choć ich zostały kupione w prestiżowych domach mody, a nawet, być może, były szyte na miarę. Czterech pięćdziesięciolatek bez wątpienia świętowało koniec ciężkiego dnia i podpisanie in-tratnej umowy. Popijali wino, które z pewnością było doskonałe. Wszyscy mieli na twarzach ten spokojny, pewny siebie uśmiech ludzi, którym się w życiu powiodło. Przy jednym ze stolików pod dużymi lustrami elegancka ciemnowłosa kobieta w czerwonej sukience towarzyszyła siwowłosemu mężczyźnie, którego twarzy Daniel nie widział, bo siedział do niego plecami. Słuchała go wyraźnie roztargniona, a jej wzrok od czasu do czasu błądził po sali, po czym wracał na rozmówcę. Wyglądała na znudzoną. Sommelier umieścił na stojaku srebrne wiaderko, z którego wystawała zanurzona w kostkach lodu butelka pouilly, następnie chwycił za korkociąg i odprawił rytuał otwierania, przesuwając korek pod nozdrzami. Daniel skosztował, tak, było dobre. Nie należał do tych uduchowionych pasjonatów, którzy wyczuwali subtelne różnice między rocznikami i potrafili dyskutować o nich w wielce wyrafinowany sposób. Sommelier czekał z nieco protekcyjną miną, charakterystyczną dla pracowników eleganckich lokali, na aprobatę klienta. Daniel zdecydował się skinąć lekko głową, czym chciał zasugerować, że posiada niebywałą erudycję w materii białych burgundów. Z półuśmiechem na ustach sommelier napełnił kieliszek i odszedł. Kilka chwil później kelner położył na obrusie okrągłą podstawkę – niezaprzeczalny znak, że już wkrótce pojawi się półmisek owoców morza. Obok stanął kosz z kromkami ciemnego pieczywa, kokilka z octem winnym posypanym drobno siekaną szalotką i maselniczka. Daniel posmarował masłem kawałek chleba i dyskretnie

zanurzył go w sosie. Rytuał, któremu oddawał się za każdym razem, gdy jadł owoce morza w restauracji. Zmył smak octu łykiem lodowatego wina. Westchnął z satysfakcją. Tak, odnalazł się.

*

Przyniesiono talerz z owocami morza smakowicie ułożonymi według gatunków, na kruszonym lodzie. Daniel sięgnął po ostrygę, a drugą ręką podniósł ćwiartkę cytryny i delikatnie ścisnął ją nad małżem, kropla spadła na cienką błonę, która natychmiast się cofnęła. Ze wzrokiem zatopionym w opalizujących refleksach trzymanej muszli, na peryferiach pola widzenia dostrzegł, że sąsiedni stolik właśnie został przesunięty. Podniósł wzrok na wąsatego kierownika sali, który uśmiechał się do nowo przybyłego gościa. Mężczyzna zdjął czerwony szalik, potem płaszcz i kapelusz, po czym wślizgnął się na miejsce obok Daniela.

– Czy odnieść płaszcz do szatni? – zapytał natychmiast *maître d'hôtel*.

– Nie, dziękuję, nie trzeba. Tu na ławce będzie dobrze. Nie przeszkadza to panu?

– Nie – wyszeptał Daniel ledwo słyszalnym głosem. – Proszę – dodał na bezdechu.

Obok niego usiadł François Mitterrand we własnej osobie.

Naprzeciwko głowy państwa zajęli miejsce dwaj mężczyźni. Przysadzisty okularnik o kręconych włosach, a drugi szczupły, z elegancko zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, które ułożyły się na kształt fali. Chudzielec obdarzył Daniela przelotnym, życzliwym uśmiechem, który ten spróbował odwzajemnić z resztką naturalności, jaka mu pozostała. Widział już wcześniej tego mężczyznę o przenikliwych oczach i wąskich ustach. Właśnie przypomniał sobie, jak się nazywa i jakie zajmuje stanowisko. Roland Dumas. Były minister spraw zagranicznych. Kiedy osiem miesięcy temu partia Mitterranda przegrała wybory parlamentarne, ustąpił miejsca swojemu następcy. Jem kolację obok prezydenta Francji, powtarzał sobie w głowie kilka razy, żeby w pełni objąć rozumem to, co właśnie się działo, choć przecież wydawało się zupełnie nierzeczywiste. Nie poczuł nawet smaku pierwszej ostrygi, bo nowy sąsiad w całości pochłonął jego uwagę. Uzmysłowiwszy sobie osobliwość okoliczności, w jakich się znalazł, pomyślał, że zaraz się obudzi we własnym łóżku, a dzień jeszcze się nie zaczął. Spojrzenia pozostałych klientów restauracji wędrowały teraz bezwiednie w okolice jego stolika. Sięgając po drugą ostrygę,

dyskretnie zerknął w lewo. Prezydent założył okulary i studiował menu. Daniel sycił siatkówkę hieratycznym profilem znanym ze zdjęć w czasopiśmie i z telewizji, który oglądał przez ostatnie pięć lat, od czasu zaprzysiężenia na urząd, każdego trzydziestego pierwszego grudnia. Teraz widział go na żywo, człowieka z krwi i kości, jak to się mówi. Wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć. Kelner wrócił, prezydent zamówił tuzin ostryg i łososia, grubas – pasztet z borowikami i krwisty befszyk, a Roland Dumas to samo, co prezydent, czyli owoce morza i rybę. Kilka minut później sommelier wrócił ze srebrnym wiaderkiem na stojaku, w którym chłodziła się unosząca się na lodzie butelka pouilly-fuissé. Z wdziękiem wyciągnął korek i nalał odrobinę złocistego trunku do prezydenckiego kieliszka. François Mitterrand skosztował i wyraził aprobatę prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy. Daniel dołał sobie wina, które wychylił niemal jednym haustem, po czym łyżką nałożył na ostrygę czerwony ocet winny z dodatkiem posiekanej szalotki.

– Powiedziałem to Helmutowi Kohlowi w zeszłym tygodniu...

Głos François Mitterranda towarzyszył przeżuwaniu małża i Daniel zrozumiał, że od teraz już zawsze podczas jedzenia ostryg z octem winnym będzie słyszał to zdanie: „Powiedziałem to Helmutowi Kohlowi w zeszłym tygodniu...”.

Kelner postawił małą karafkę czerwonego stołowego wina przed przysadzistym okularnikiem, który natychmiast napełnił swój kieliszek, a potem do stolika zbliżył się kolejny pracownik brasserie z przystawkami. Grubas spróbował pasztetu, którego smak najwyraźniej przypadł mu do gustu, bo z zadowoleniem wymalowanym na twarzy przytoczył anegdotę o terrine ze smardzami. Prezydent przełknął ostrygę, a Daniel wyciągnął

szpilkę z korka owiniętego sreberkiem, bo zamierzał teraz zaatakować pobrzeżki.

– W swojej piwniczce Michel zgromadził istne cuda – zdradził konspiracyjnym szeptem Roland Dumas.

Prezydent podniósł na niego wzrok, a „Michel” od razu zaczął się rozwódzić nad piwniczką w posiadłości na prowincji, gdzie trzymał cygara z całego świata, ale też świetne kiełbasy. Bo obie rzeczy cenił w równym stopniu.

– Kolekcja kiełbas, to nawet zabawne – skomentował François Mitterrand, ściskając kawałek cytryny.

Przełknąwszy dziesiątego pobrzeżka, Daniel ponownie rzucił okiem w lewo. Prezydent skończył ostatnią ostrygę i właśnie wycierał usta nieskazitelnie białą serwetą.

– Zanim zapomnę... – zaczął, zwracając się do Rolanda Dumasa – numer telefonu do naszego przyjaciela.

– Tak, oczywiście – mruknął były minister, sięgając do kieszeni marynarki.

Prezydent obrócił się do swojego płaszcza, podniósł kapelusz i odłożył go za mosiężną poręczą wieńczącą oparcie ławy. Wyciągnął z kieszeni skórzany notes, ponownie założył okulary i zaczął go przeglądać.

– Na dole strony – poinstruował Dumasa, podając mu adresownik.

Były minister spraw zagranicznych wziął go i w milczeniu przepisał nazwisko oraz dane kontaktowe do własnego notesu, po czym zwrócił prezydentowi jego własność. François Mitterrand wsunął notes z powrotem do kieszeni płaszcza. „Michel” zaczął rozprawiać na temat człowieka, którego imię nic Danielowi nie mówiło. Dumas słuchał towarzysza, mrużąc oczy, a François Mitterrand pozwolił sobie na półuśmiech.

– Surowo go oceniasz – zauważył, nie bez ironii, zachęcając go w ten sposób, by kontynuował.

– Być może, być może, ale na pewno nie kłamię, byłem tam! – zarzekał się grubas, rozsmarowując resztę pasztetu na kromce chleba.

Daniel wysłuchał historyjki do końca. Odniósł wrażenie, jakby połączyła go z nimi osobliwa zażyłość. Pozostali klienci brasserie zniknęli. Byli tylko oni, we czwórkę. „A ty, Danielu, co o tym myślisz?” Daniel z przyjemnością odpowiedziałby głowie państwa, wyraziłby opinię, która szczerze zainteresowałaby François Mitterranda. Prezydent skinąłby głową, a potem Daniel zapytałby Rolanda Dumasa, jakie on ma zdanie w tej kwestii. Dumas by się z nim zgodził, a Michel dodałby szyderczym tonem: „No, oczywiście, Daniel jak zwykle ma rację!”.

– Piękna kobieta... – odezwał się cicho François Mitterrand.

Daniel podążył za jego spojrzeniem. Prezydent podziwiał brunetkę w czerwonej sukience. Dumas wykorzystał pojawienie się kelnera z zamówieniem, by dyskretnie rzucić na nią okiem. Grubas również się odwrócił.

– To prawda, piękna – przytaknął.

– Potwierdzam – szepnął Dumas.

Daniel zauważył, jak wiele go łączy z głową państwa. François Mitterrand zamówił to samo wino, a teraz zwrócił uwagę na tę samą kobietę. Mieć identyczny gust z najważniejszym z Francuzów to nie bagatela. Półśłówka wymieniane na temat urody płci przeciwnej, padające w jowialnej atmosferze, scementowały niejedną męską przyjaźń i Daniel zaczął sobie wyobrażać, że jest czwartym gościem przy prezydenckim stole. Też miał notes w czarnej skórzanej oprawie, z którego były minister z przyjemnością przepisywałby dane kontaktowe.

Piwniczka grubasa nie miałaby przed nim tajemnic, bo regularnie by tam zaglądał na degustację kielbasek, przed wypaleniem jednego z najlepszych cygar na świecie. Ale przede wszystkim towarzyszyłby prezydentowi w jego spacerach po Paryżu, nad brzegiem Sekwany, wzdłuż straganów bukinistów, i obaj, z rękami założonymi za plecami, gawędziliby o kierunku, w jakim zmierza świat, lub, nieco skromniej, o zachodzie słońca nad Pont des Arts. Przechodnie oglądaliby się za ich dobrze znanymi sylwetkami, a wszyscy jego znajomi szeptałoby pod nosem: Daniel pozostaje w poufałych stosunkach z François Mitterrandem...

– Wszystko w porządku?

Kelner wyrwał go z zamyślenia. Tak, doskonale, półmisek z owocami morza musi mu wystarczyć na tyle, na ile okaże się to konieczne. Nawet gdyby musiał zostać do zamknięcia lokalu, za nic nie wstałby z miejsca pierwszy, przed prezydentem. Wytrwa przez wzgląd na siebie i innych, by móc w przyszłości opowiadać: w listopadzie 1986 roku jadłem kolację w brasserie obok samego François Mitterranda, który siedział tuż przy mnie, dokładnie tak, jak ty teraz. W głowie Daniela formowały się zdania, które miał nieraz powtarzać w nadchodzących dekadach.